IZAROWSCY

APOKALIPKA

CZYLI JULKA DZIWADEŁKO I PRZYGODY Z POTWORAMI

IZAROWSKI
przedstawia

Izarowski.pl

prezentuje

IZAROWSCY

APOKALIPKA

CZYLI JULKA DZIWADEŁKO I PRZYGODY Z POTWORAMI

Tutaj jest miejsce na **autografy**

Anastazji, Łukasza, Maksyma, Asi,
Oli, Moniki oraz Mateusza.

Czy masz już je wszystkie?
Jeśli nie, to do biegu, gotowi, start!

Zamość 2018

W sekrecie zdradzimy Ci, że jest szansa na zdobycie choćby części z autografów – wystarczy, że pojawisz się na tych samych spotkaniach autorskich, na których my będziemy.

To naprawdę prostsze niż myślisz.
Co trzeba zrobić?

Śledzisz naszą stronę:
www.izarowski.pl

Dowiadujesz się, że będziemy w okolicy. Pakujesz manatki, chowasz książkę w plecak, pędzisz ile sił w nogach, a kiedy już dotrzesz na spotkanie, po prostu uśmiechasz się w naszą stronę z książką w dłoni. Jest szansa, że połapiemy się, o co Ci chodzi.

To do zobaczenia!

Kilka słów od Autorów

Cześć!

Z tej strony Anastazja i Łukasz Izarowscy.

Z wielką przyjemnością chcieliśmy osobiście powitać Cię na stronach naszej książki. Jesteśmy niesamowicie zadowoleni z tego, że trzymasz ją w dłoniach i mamy gorącą nadzieję, że dostarczy Ci ona dużo frajdy.

Nam dużo frajdy sprawiło jej tworzenie.

(Jeśli chciałbyś dowiedzieć się, jak powstawała książka i poznać różne nasze sekreciki, wskocz na Izarowski.pl – tam dowiesz się wszystkiego.)

Duet z nas odrobinę nietypowy, ale wesoły. Anastazja, pierwszoklasistka uwielbiająca wymyślać bajki, oraz Łukasz, jej tata, który nigdy nie dorósł tak do końca i też jest częstym gościem bajecznego świata.

Jak to wszystko się zaczęło?

Tak się złożyło, że pewnej niedzieli Anastazja postanowiła uraczyć swojego tatę (czyli mnie) bajką. Jako że przyzwyczaiłem się do nagrywania jej opowieści, tym razem także uru-

chomiłem rekorder. Opowieść z każdym słowem stawała się ciekawsza, ale razem z porą obiadową (po mniej więcej 40 minutach) zakończyła się. Z fantastycznych chwil pozostało nagranie.

A skoro było nagranie, to może warto byłoby zrobić z tego książkę?

Tak też postanowili Anastazja i Łukasz. Wybrali ilustratorki (do okładki i środka książki), a potem w ciągu miesiąca spisali (Łukasz spisywał, a Anastazja czytała i poprawiała) tę opowieść. Kolejny miesiąc na poprawki. Następny na dopracowanie ilustracji, redakcję, korektę oraz skład – i już.

Dzięki temu trzymasz dzisiaj w rękach tę książkę i razem z nami możesz podreptać do bajkowego świata Anastazji, opisanego słowami jej taty.

Masz ochotę? To zapraszamy. Będzie nam niezmiernie miło.

Zanim wejdziesz, postanowiliśmy w skrócie opowiedzieć Ci, co może Cię tam spotkać, abyś lepiej przygotował się na tę podróż.

Streszczenie

„Apokalipka" opowiada o losach Julki Dziwadełko i jej rodziny, którzy jako jedyni nie zamienili się w potwory podczas apokalipsy. Główną bohaterką jest Julka, która, znudzona samotną zabawą w świecie pełnym potworów, postanawia zmienić kolej rzeczy. Wyrusza więc (wraz z lalką Zuzią i rodziną) w niesamowitą podróż do Dobrego Domu, aby odmienić los świata. Po drodze czeka ją mnóstwo przygód i niebezpieczeństw.

A reszta... to już historia.

Apokalipka (definicja z języka Julkowego) – szczególna odmiana apokalipsy. Jak może wiesz, apokalipsa to koniec świata. Kiedy wszystko znika, wskazówki w zegarkach stają dęba, słodycze są bez cukru, małpy przestają małpować, morza falują liniami prostymi , dzieci dorośleją, dorośli dziecinnieją, a gwiazdy świecą w rytmie polki. Taki koniec, że nie ma już nic więcej. Zupełna ciemność i cisza.

Apokalipka jest wtedy, jak skończy się coś, ale jeszcze dużo zostanie. Tak jak w naszym wypadku. No bo skończyły się prawie wszystkie dobre domy i niepotworni ludzie, ale w sumie cała reszta została mniej więcej taka sama. Raczej mniej niż więcej, ale jednak.

Więc nasza apokalipsa była taka mniejsza. I, jakby powiedział mój brat Robert:

– Trochę lipna.

Stąd nazwa – apokalipka.

Wstęp

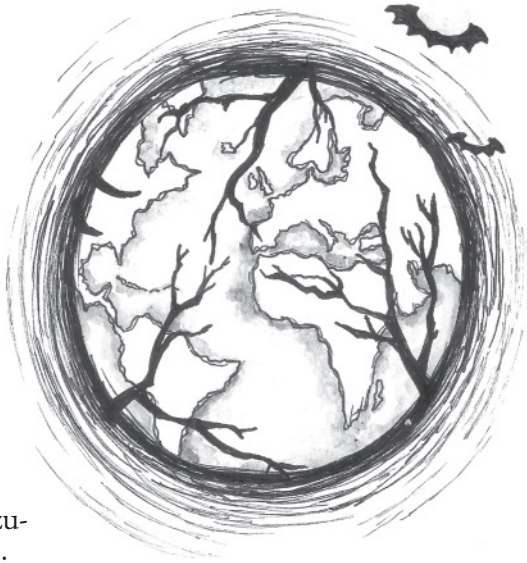

Kabuum!

Syyyyk!

Fiuuuuu!

Tak to się wszystko zaczęło.

Apokalipka nastąpiła zupełnie niespodziewanie. Nie przewidzieli jej tata, mama, dziadek, mój brat, ani nawet sąsiad z naprzeciwka. A przecież nosił okulary, więc musiał wiedzieć dużo. Stało się to rano, w ostatni piątek roku przedszkolnego, kiedy na stole stała już pusta miska po płatkach i wszyscy byliśmy gotowi do wyjścia. Wszyscy, czyli ja, Robert, mama, tata i nasz pies Solar.

Wtedy nagle rozległ się ten syk, o którym już mówiłam, baaardzo głośny syk. Jakby ktoś wbił taką kosmiczną igłę w kulę ziemską i zaczęło z niej uciekać powietrze jak z balonika.

Syyyyyyyk...

Mama krzyknęła!

– Ja cię bzdryngolę! Czy to… – ale już dalej nie było jej słychać, bo ten syk był taki głośny. Tata jednak chyba zrozumiał. Chwycił mnie i Roberta pod pachy i zbiegł z nami do piwnicy. Czułam się trochę jak pudełko bombonierek porwane przez wygłodniałego głodomora, ale moje protesty na nic się nie zdały! Bo kto słucha pudełka bombonierek? Zmarszczyłam brwi.

Mama rzuciła się po schodach za nami jak kangurzyca. Ostatnia, no prawie, bo za nią wskoczył pod drewniany właz Solar, a potem klapa kłapnęła i nastała ciemność.

Tak to się wszystko zaczęło. Ja nazywam się Julka Dziwadełko i mam siedem albo osiem lat. Siedem, jeśli liczyć po naszemu, a osiem jeśli po chińsku. Bo oni tam w Chinach to liczą pierwszy rok już od momentu urodzenia. Dziwacznie, nie? Ale to liczenie to nic w porównaniu z apokalipką, która nastała i przemieniła wszystkie domy, naturalnie poza naszym i jeszcze dwoma innymi, w złe domy, a ludzi w potwory.

1

Moja opowieść zaczyna się trzeciego dnia wakacji. Już po tym, gdy wyszliśmy z piwnicy, po wcześniejszym wyjedzeniu wszystkich dżemów. Już po tym, gdy mama głośno pisnęła na widok spacerującej ulicą pary zagadanych duchów (one zresztą też pisnęły na jej widok i uciekły). Już po tym, gdy tata kazał nam nie oddalać się od domu, bo „wszystko teraz jest niebezpieczne". Zaczyna się, gdy siedziałyśmy razem z moją lalką Zuzią na pikniku, wygrzewając się w słońcu.

Zuzia jest świetną słuchaczką. Dlatego, kiedy ja trajkotałam i zajadałam się wielkimi truskawami z ogródka pani Poli, ona tylko grzecznie przytakiwała.

– Zuziu! Ta apokalipka to straszna jest. Wszyscy zamienili się w potwory. Wszędzie tylko duchy, zombiaki i wampiry. Nawet się nie ma z kim pobawić. Musimy coś z tym zrobić! Jakieś pomysły?

Zuzia jak zwykle nabrała wody w usta i nawet słówkiem nie pisnęła.

– No tak. Słuchać to ty może i potrafisz, ale jeśli chodzi o rady, to jesteś bicia warta.

Nie zastanawiałam się wiele. Chwyciłam Zuzię za rękę, spakowałam nasze zapasy do kosza piknikowego, przetarłam pot z czoła, bo trochę mnie to wszystko zmęczyło i poszłam w kierunku domu.

Nasz dom był bardzo blisko domu pani Poli. Kiedyś dzielił je tylko mały, biały płotek, ale teraz wszystko już zarosło wielkimi krzaczorami. Dlaczego? No wiadomo dlaczego. Bo jak się zaczęła apokalipka, to wszystkie domy nagle stały się złe, tak samo jak ich mieszkańcy. A jak ktoś jest zły, to nie zajmuje się koszeniem trawy, tylko robieniem złych rzeczy, czyli głównie straszeniem. Dlatego od miesiąca pani Pola nie kosi trawy, nie uśmiecha się i już nie częstuje nas pyszną szarlotką, tylko łypie swoimi zombiakowymi oczami i obija się o szybę w swoim domu, próbując wyjść na ogródek. Dobrze, że tata zdążył zamknąć drzwi, zanim prysnęła, bo byłaby niezła draka.

Poza panią Polą wszyscy inni też się zmienili. Państwo Różewscy z naprzeciwka teraz są duchami i latają dookoła swojego domu, krzycząc głośno „Buuu huuu". Pan Zbyszek, który nieraz naprawiał mi lalkę, gdy odpadła jej głowa, kryje się po kątach przed słońcem, bo stał się wampirem. Najbardziej szkoda mi dzieci z mojej ulicy – nazwałam je „strasznodzieci", bo Zuzia się ich trochę nawet boi. Bartek na przykład obrósł sierścią i wyje do księżyca, Patrycji wyrosła druga głowa, która ciągle się kłóci z tą pierwszą, a Maurycy jest w połowie niewidzialny i gryzie wszystko, co może dosięgnąć zębiskami. No, no, no Maurycy.

– Nie wolno gryźć, Zuziu. Rozumiesz?

Zuzia rozumiała. Zresztą zawsze była grzeczna. A mnie martwiła ta sytuacja. Mama i tata przeszli z tym już do porządku dziennego. Po prostu zajęli się swoimi nowymi obowiązkami. Tata zbudował jakiś płotek i zbierał zapasy. Znalazł nawet taką wielką flintę w jednym z domów, które „sprawdzał". Tak to nazywał, ale ja wiem, co on tam robił. Grzebał po lodówkach. I chociaż bardzo go kocham, uważam, że to mama powinna po nich grzebać. Tata zawsze znosił rzeczy, które potem jadł tylko on. No bo kto lubi jakiegoś tatara? Bleee.

No, dobra. Znosił też dużo dla nas.

Mama też zajęła się innymi rzeczami. Zanim zaczęła się apokalipka, była pielęgniarką, ale teraz nie miała już kogo leczyć, bo potwory nie pozwoliły się zbliżać do siebie. Poza tym one chyba nie chorowały. Więc mama ciągle coś robiła przy domu, zbijała jakieś deski. No i robiła mnóstwo przetworów. Na przykład pyszne dżemiki truskawkowe. Mniam!

Najgorszy był Robert, mój starszy brat. Już wcześniej często nie dało się z nim wytrzymać, ale zawsze był ktoś, kto na niego nakrzyczał. Jak jego nauczycielka albo pan Tomasz z naszej ulicy. Ci dwaj zawsze mieli ze sobą na pieńku. Ale teraz pan Tomasz stał się zombiakiem i nie miał szans z Robertem, bo poruszał się sto razy wolniej niż kiedyś. No i nie potrafił już krzyczeć, tylko kwękał po zombiakowemu.

A Robert? Całymi dniami drażnił pana Tomasza, uciekając przed nim po podwórku, kiedy Solar, nasz pies, dopingował brata szczekaniem. Niezła afera by była, jakby pan Tomasz wreszcie dopadł Roberta i go pokąsił. Mama opowiadała mi, że takie coś mogło by zamienić go w zombiaka. Podobno wszyscy o tym wiedzieli. Robert jednak się tym wcale nie przejmował.

– Wiesz co, Zuziu. Powinniśmy tak zrobić, żeby pan Tomasz wreszcie go ugryzł. Jakby się stał zombiakiem, to by się wreszcie nauczył, że nie ładnie drażnić potwory.

Kocham Roberta, ale ciągle mnie zaczepia. Dlatego nie bawię się z nim tylko z Zuzią.

Ale koniec z tym. Apokalipka to nie dla mnie. Nie mam zamiaru iść do pierwszej klasy sama. A przecież jak skończą się wakacje i apokalipka nadal będzie trwała, to tak się stanie. I kto mnie będzie uczył? Mama? Tata? A może Robert? Co to, to nie!

Postanowione. Trzeba uratować rok szkolny. Trzeba cofnąć apokalipkę.

***

Z Zuzią pod ręką, tupiąc głośno po schodach, ruszyłam w stronę strychu. Gdy stanęłam przed drzwiami na poddasze, wzięłam głęboki oddech. Wiedziałam, że muszę to załatwić sama i nikt mi nie pomoże. Złapałam za klamkę i otworzyłam drzwi.

Coś zahuczało, coś zabuczało i coś ukryło się w ciemności.

Ale nie ze mną te numery. Pstryknęłam światło i nagle zrobiło się jasno. Tylko długie cienie wałęsały się po kątach, całkiem jak pan Zbyszek.

– Wyłaź. Mamy do pogadania! – wrzasnęłam tak głośno, że aż Zuzia zakryła uszy.

Aaa! Bo zapomniałam wam powiedzieć. Jak się zaczęła apokalipka, to w każdym domu pojawił się potwór i pozamieniał mieszkańców w co mu przyszło do łba. Czyli w wampiry, wilkołaki, duchy i inne takie. Najczęściej w zombiaki. Nie wiem czemu.

W naszym domu też się pojawił. Wlazł jakoś przez komin. Tupał głośno i buczał strasznie. To ja go odkryłam. I dobrze. Bo kazałam mu się schować. Jakby tata go odkrył, to pewnie by go wygnał z domu, albo jeszcze coś gorszego. Ale ja tego nie zrobiłam, bo nasz potwór jest, no... strachliwy.

– Wyłaź! – krzyknęłam jeszcze raz i tupnęłam stopą o podłogę, aż zabrzęczały składowane przez mamę kryształy od cioci Tereski.

Zza kartonowego pudła wypełzł mały zombiako-krasnoludek. Jak go pierwszy raz zobaczyłam, zrobiło mi się przykro. No bo zamieniać krasnoludka w zombiaka, to już przechodzi ludzkie pojęcie. A nam się taki trafił.

– Chodź tu prędko! – tupnęłam jeszcze raz, dla efektu, wiadome. Chociaż nie byłam na niego wcale zła.

Zombiak zaczął kuśtykać do mnie z wyciągniętymi przed sobą rękami, jak lunatyk. Zombiaki tylko tak umiały chodzić. Pewnie żeby utrzymać równowagę. A może nie. Kto je tam wie.

– Usiądź koło Zuzi i tłumacz się! – rozkazałam.

Wcześniej posadziłam Zuzię na malutkim krzesełku i postawiłam jedno naprzeciwko dla Zombika. Tak go nazwałam. Ładnie, prawda?

Zombik, odrobinę przestraszony, usiadł i położył grzecznie łapki na kolankach.

– No. To teraz gadaj, jak cofnąć apokalipkę!

Zombik zerknął na mnie wystraszonym wzrokiem. Wiedziałam, że potrafi mówić, bo był przecież nadal w połowie krasnoludkiem, a krasnoludki mówią. I to całkiem sporo. Szczególnie, jeśli mają ochotę najeść się cukierków czy miodu. Och! A jak chodzi o ser, to wtedy zamieniają się w istne gaduły. Tylko że teraz nie było czasu na kuszenie, a na groźby. Tata był kiedyś wojskowym

i opowiadał, że istnieją dwa sposoby, żeby kogoś przekonać do gadania. Na słodko i na ostro. A jako, że nie miałam cukierków (bo mama wszystkie schowała, tłumacząc, że apokalipka popsuła wszystkie słodycze), to postanowiłam na ostro. Wyjęłam paprykę (ostrą) i wcisnęłam Zombikowi pod nos.

– Aaaaj! – jęknął. Skrzywił się i zasłonił twarz.

– Gadaj, Zombik! Bo przyniosę cebulę i cię nią wysmaruje! – Nie lubiłam na nikogo krzyczeć, ale tata tłumaczył, że czasem tylko to działa, jak przeprowadza się kulminacyjny punkt dywersji na terenie wroga. A przecież strych, i w ogóle wszystkie strychy, był terenem wroga.

– No dobra – jęknął Zombik. – Nie ma sposobu, żeby cofnąć apokalipsę.

– Jak to? Nie da się cofnąć apokalipki?

Zombik pokręcił głową. Zbliżyłam paprykę do jego twarzy szybkim ruchem. Jęknął z przerażenia.

– Ale, ale...

– Co za „ale”?

– Ale wasz dom nie jest jedynym dobrym.

– Tak?

– Ehemm... pozostały łącznie trzy.

– Trzy? – Policzyłam na palcach dla pewności i pokazałam mu trzy palce. – Dobra. Gadaj dalej.

– No i dobrze byłoby znaleźć te domy. Bo w nich też mieszkają Dziwągi.

– Kto?

– No, dziwągi. Jesteście jedynymi nie potworami , więc nazywamy was dziwągami.

– Sam jesteś dziwągiem! – wrzasnęłam, ale Zombik tylko się skrzywił, nadal zasłaniając twarz przed papryką. Zuzia spojrzała na mnie, marszcząc

brwi, i pokręciła głową. Chyba uważała, że przesadziłam. Odsunęłam wiec paprykę od twarzy Zombika, ale wciąż ją miałam wycelowaną. Na wszelki wypadek. Jakby chciał mnie użreć na przykład. – Co jeszcze?

– Już nic. Tyle wiem. Ale apokalipsy na pewno nie cofniesz. Już nic się nie da zrobić. Tak będzie już zawsze.

Spojrzałam na niego najbardziej piorunującym spojrzeniem, na jakie było mnie stać i warknęłam złowrogo.

– Jeszcze zobaczymy!

A potem chwyciłam Zuzię za rękę i ruszyłam w stronę wyjścia ze strychu. W progu odwróciłam się jeszcze do Zombika i rozkazałam.

– Pakuj się!

– Ja?

– Tak. Ty. Wyruszamy w drogę i ty idziesz z nami. Będziesz naszym... – potrzebowałam chwili, żeby sobie przypomnieć, jak tata nazywał to, jak się bierze kogoś z oddziału wroga do uwięzi.

Zuzia kiwnęła główką. Nachyliłam się nad nią i mi przypomniała, szepcząc do ucha.

– Będziesz naszym jeńcem.

2

Tata powiedział cicho:

– Nie.

Mama wrzasnęła:

– W żadnym wypadku!

Tylko Robert z jemu tylko znanych, szubrawych powodów przytaknął na mój plan radośnie:

– Ruszajmy!

Solar zawtórował mu głośnym szczeknięciem, a potem zamerdał ogonem i zaczął dreptać w kółko po pokoju, jakby chciało mu się siusiu.

Na dworze panowała już ciemność. Drzwi były zarygolowane, jak to zawsze wieczorem (bo nigdy nie wiadomo, jakie paskudztwo się napatoczy – tak powtarzał tata), a w powietrzu unosił się jeszcze zapach naleśników z dżemem truskawkowym (mniam!), które jedliśmy przed chwilą na kolację.

– Hmm... – westchnęłam. Może źle mnie zrozumieli i pomyśleli, że musimy wyruszyć już teraz. Zerknęłam na Zuzię porozumiewawczo, a potem wzruszyłam ramionami. To wytłumaczę im jeszcze raz, tylko trochę wolniej.

– Mamo, tato, Solar... i Robercie.

Mój brat wyszczerzył zęby złośliwie i spojrzał na mnie jak na smakowitego krakersa.

– Poza naszym zostały jeszcze dwa dobre domy na świecie. Musimy wyruszyć, żeby je odnaleźć. Dzięki temu cofniemy apokalipkę. Ale spokojnie... nie musimy wyruszać już teraz. Wiadome, że w nocy wszędzie wałęsają się stwory. Ruszymy dopiero po śniadaniu. Rano. Także nie bójcie się. Będzie fajnie – machnęłam ręką, jakby przejście przez cały świat pełen potworów było dla mnie pestką.

Tato skrzywił się tylko i spojrzał na mamę.

– Czyś ty postradała rozum? – podniosła głos mama.

– No... nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Nikt mi niczego nie ukradł. Przynajmniej nic o tym nie wiedziałam. – Upewniłam się, że Zuzia siedzi u mnie na kolanach. – Jesteśmy w komplecie.

– Dziewczyno – zaczęła mama. – Nastąpiła apokalipsa i cały świat opanowały bestie. Musimy walczyć o przeżycie każdego dnia. Nie możemy sobie pozwolić na większe ryzyko. Podróże? Phiii! Najważniejsze teraz jest bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo! Rozumiesz?

– No jasne, że rozumiem...

– No więc, jak możesz w ogóle proponować coś takiego? Zresztą, czy ty nie powinnaś już leżeć w łóżku? – spojrzała na mnie łzawym wzrokiem. Zrobiło mi się smutno, bo nic nie rozumiała.

– Ale mamo...

– Widzisz, Piotrek! – spojrzała teraz na tatę, marszcząc brwi. – To wszystko przez te twoje opowieści o dywersjach, negocjacjach, podbojach i...

– Nie prawda. Po prostu Zombik mi powiedział, że...

– O, losie! I jeszcze jakiś Zombik.

– Ale naprawdę...

– Julka! Spać! – zezłościła się już całkiem mama.

Ja zresztą też. W ogóle nie pozwalała mi dojść do słowa, a sama ciągle powtarzała, że każdemu trzeba pozwolić powiedzieć to, co ma do powiedzenia.

Otworzyłam usta, żeby jeszcze dodać, że mogę przecież przyprowadzić Zombika i sam wszystko opowie, ale mama podniosła tylko palec do góry i skrzywiła głowę. To oznaczało, że zaraz może wybuchnąć. Cóż, jej strata! Niech sobie wybucha! Zerknęłam na Zuzię, szukając wsparcia, ale ta tylko kręciła głową, próbując mi dać do zrozumienia, żebym już nic nie mówiła. Ech... i ona też po ich stronie.

– Wiecie co?! – krzyknęłam. – To idę spać!

I poszłam.

3

Drzwi w swoim pokoju zamknęłam na zasuwkę. Tata ją zamontował już następnego dnia po tym, jak zaczęła się apokalipka. Podeszłam do okna i westchnęłam ciężko. Było zabite gwoździami. Spojrzałam na dom pani Poli i wspomniałam zapach jej pysznych szarlotek. Nawet w swoim pokoju słyszałam ciche bum, bum, bum, gdy odbijała się od szyby, próbując wyjść na ogródek. A może chciała sobie po prostu usiąść na werandzie?

Odwróciłam się, spojrzałam na Zuzię.

– Powinnaś być po mojej stronie – burknęłam i zrobiłam usta w podkówkę.

Zuzia nic nie mówiła, tylko uśmiechała się łagodnie. Tak ładnie.

– No dobra. Nie chcą iść, to ich problem. Pójdę sama. Dla szarlotki pani Poli, dla pierwszej klasy i na złość mamie. A co!

Zaczęłam pakować rzeczy. Wyjęłam z szafy swoją czerwoną torbę podróżną i spakowałam trochę ubrań (swoich i Zuzi), kolorowanki, kredki, buty i trochę ciasteczek z szuflady. Kiedy uznałam, że to już wszystko, nagle zrobiło mi się smutno, że będę musiała iść tylko z Zuzią. Siadłam na łóżku zmartwiona i spojrzałam na nią.

– Ja wiem, że idziesz ze mną. Ale to nie to samo. Jesteś tylko lalką.

Zuzia uśmiechnęła się ponownie.

Puk, puk! Nagle ktoś zapukał do okna. Spojrzałam tam zdziwiona, bo okno miałam przecież na pięterku.

– Wpuuuuśććć mnieeee – wyjęczał przyklejony do szyby pan Zbyszek. Z ust wystawały mu długie kły.

Wspominałam już, że pan Zbyszek zamienił się w wampira. Robert opowiadał mi trochę o wampirach. W ogóle to on wiedział sporo o różnych potworach, pewnie przez te swoje komiksy. W każdym razie wampir nie mógł wejść do twojego pokoju i wypić twojej krwi, jak się go nie zaprosiło.

– Ech... – westchnęłam, patrząc na błagalne spojrzenie pana Zbyszka. – Wie pan, że nie mogę pana zaprosić. Wtedy wypije pan całą moją krew. – Spojrzałam na lalkę – I Zuzi.

– Nie całą. Trochę wam zostawię. Obiecuję – dodał wampir. – Tylko wpuuuuuśćććć mnieeeee – wysyczał.

– Niech pan mi lepiej powie, co mam dalej robić?

– Jasne. Powiem. Ja wiem, bardzo dużo...

– O! Świetnie.

– Tylko wpuuuuuśćććć mnieeeee! –Pan Zbyszek przykleił swój wielki nos do szyby. – Pliiiiiissss – dodał błagalnie.

– Nooo dobra! – powiedziałam, bo wpadłam na świetny pomysł.

– Taaak? – zdziwił się pan Zbyszek i, jak mały kundelek, zaczął krążyć przyklejony do ściany na około okna. Miał na nogach śmieszne, czerwone kalosze.

– Tak, ale pod warunkiem!

– Jasne. Zrobię wszystko.

– To proszę odpowiedzieć mi na kilka pytań. – Postanowiłam teraz zastosować metodę na słodko (czyli obiecać mu coś słodkiego – w tym wypadku moją krew, bo wampiry ją lubią). – Jest pan potworem?

– Tak.

– Strasznym?

– A nie widać?

– Odpowiadamy tylko „tak" lub „nie".

– Dobra. – I zastrzygł uszami. – Tak.

– Zna pan inne potwory?

– Tak.

– Rozmawiacie sobie czasami?

– Tak.

– Wie pan, panie Zbyszku, gdzie są dwa pozostałe dobre domy?

Spojrzał na mnie podejrzliwie i syknął cicho.

– Wieeem... ale tylko o jednym.

– To proszę mi powiedzieć, w którym kierunku mam pójść, żeby do niego dotrzeć.

– A wpuuuuuściiiiiisz mnieeee?

– Tak, jak się umawialiśmy. – Mrugnęłam porozumiewawczo do Zuzi. – Pod warunkiem.

– Trzeba iść na północ.

– Daleko?

– Hen i jeszcze trochę. To teraz wpuuuuuśććć mnieeeee.

– Powiedziałam: pod warunkiem.

– Pod jakim warunkiem?

– Możesz wejść panie Zbyszku, pod warunkiem, że nikogo już nie będzie w domu.

– Ty smarkulo! – zezłościł się pan Zbyszek i syknął na mnie przez okno, szczerząc swoje długie zębiska.

Zuzia aż zakryła oczy i pisnęła cicho. Co on sobie myśli?! Straszyć moją Zuzię! Podeszłam do okna, a potem zrobiłam z palców znak krzyża.

– Aaaa!! – wrzasnął pan Zbyszek i zniknął gdzieś w ciemności, odklejając się od okna jak plaster od skóry.

– No! – kiwnęłam do Zuzi. – Wiesz, Zuziu. Bo wampiry to bardzo nie lubią, jak się robi znak krzyża w ich kierunku. Robert mi powiedział.

I wtedy wpadłam na świetny pomysł. Skoro Robert tak dużo wiedział o potworach i też chciał wyruszyć w podróż, może zabiorę także i jego. Postanowione!

Odsunęłam zasuwkę, wymknęłam się z pokoju i cichutko podeszłam do pokoju Roberta. Zapukałam.

– Kto tam? – odpowiedział po chwili.

– Julka.

– Wchodź.

Usłyszałam chrzęst zasuwki.

W pokoju Roberta była totalna rozwałka. Wszystko leżało wszędzie. Tylko pokoju nie widać, jak by to mama powiedziała.

– Zobacz. Już się spakowałem – wskazał na stojącą na środku pokoju walizkę. – To kiedy ruszamy? – dodał, jakby czytał mi w myślach.

– Zaraz. Tylko muszę jeszcze coś załatwić.

– Dobra – odpowiedział konspiracyjnie, a Solar zamerdał ogonem.

Wzięłam głęboki wdech i weszłam na górę do Zombika. Coś huknęło, beknęło i prysnęło gdzieś w ciemność. Pstryk. Włączyłam światło. Zuzia przytuliła się mocniej do mojej ręki.

– Wyłaź! – wrzasnęłam w kierunku strychu.

Nie musiałam krzyczeć dwa razy. Po krótkiej chwili zza wielkiego kartonowego pudła wylazł Zombik i pełzł powoli w moim kierunku z wyciągniętymi przed sobą łapkami. W jednej trzymał obwiązane sznurówką pudełko od zapałek. Wyglądało to jak walizka. Wyszczerzył się w swoim zombiakowym uśmiechu, a pompon czerwonej krasnoludkowej czapki, którą miał na głowie dyndał mu na lewo i prawo.

– Właściwie to się cieszę, że wyruszamy. Tak tu strasznie na tym strychu.

***

Po jakimś czasie, pewnie minęło ileś tam minut, ale nie bardzo wiedziałam ile, wszyscy zebraliśmy się w moim pokoju – Ja, Robert, Solar, Zuzia i Zombik – by obmyślić plan.

– Plan jest taki, że ruszamy – powiedziałam.

– OK – podsumował Robert.

– Hau – szczeknął cicho Solar.

– Dobra – dodał Zombik.

Zuzia tylko kiwnęła głową. Wszyscy ruszyliśmy do wyjścia z pokoju. Zeszliśmy cichutko po schodkach i ustawiliśmy się w rzędzie przed drzwiami. Robert szedł pierwszy, bo wiedział, które schodki skrzypią, a które nie. No i jako jedyny wiedział, gdzie rodzice trzymają klucz do drzwi wejściowych.

W domu było ciemno, ale nie tak ciemno, żeby przez tę ciemność nie przedarł się głos taty.

– A dokąd to się państwo wybieracie?

Wszyscy zastygliśmy w bezruchu, a z oddali dotarł do moich uszu rechot pana Zbyszka. Pewnie nas wydało, wampirzysko jedno.

Pstryk. I nagle zrobiło się jasno. Odwróciliśmy głowy i okazało się, że obok taty siedzi mama, kręcąc nosem.

4

Nie wiem, kto przestraszył się bardziej. Tata na widok Zombika czy Zombik na widok flinty taty.

– Odsuńcie się od tego potwora! – Tata wycelował armatę w krasnoludka, któremu kolanka telepały się tak mocno, że dźwięczały jak dzwoneczki z sań świętego Mikołaja.

– Stop! – krzyknęłam i stanęłam przed Zombikiem. Oczy mamy nagle stały się wielkie jak talerzyki do słodkich ciasteczek.

– Co ty robisz, Julka?! – spytała.

– Zombik to nasz... Yyyy... jeniec. Będzie nam pomagał w drodze do drugiego dobrego domu. Prawda Zombik?

– Tttttakk – wyjąkał krasnal, a Zuzia zdecydowanie kiwnęła głową, potwierdzając wszystko.

– Zaraz, zaraz! – zaczęła mama – Czyli to jest TEN Zombik, który powiedział ci o dobrych domach?

– Tak.

– Więc nie zmyślałaś?

– Jasne, że nie.

– Piotrek, opuść karabin. – Położyła dłoń na flincie, a tata ją opuścił. – I naprawdę chcieliście się wybrać w środku nocy na poszukiwanie dobrego domu?

– Przecież mówiłam. Musimy cofnąć apokalipkę.

– Mówiłem, że się nie... – zaczął krasnal.

– Cicho, Zombik! – uciszyłam go szybko, a on zastygł natychmiast. Tylko małe kolanka wciąż dygotały na lewo i prawo. Tak jak czerwony pompon z jego czapki.

– Nawet mimo tego, że wam zabroniliśmy?

Robert dał krok do przodu, zdjął z pleców ciężki tornister i odchrząknął.

– Kochani rodzice. Uznaliśmy po prostu, że misja cofnięcia apokalipsy i uratowania świata od potworów jest ważniejsza od waszych zakazów. Próbowaliśmy was przekonać, ale byliście nieugięci, stąd nasza trudna decyzja o odejściu. Nam także było przykro. Julka płakała bardzo długo...

– Nieprawda! – wrzasnęłam, ale Robert nawet się nie zająknął, tylko kontynuował swoje rozgadanie.

– Zuzia dotąd jeszcze nie otarła łez ze swojej wypełnionej watą główki, a Zombik... Cóż, kiedyś był krasnoludkiem i wciąż pozostał nim w połowie. Zdecydował się nam pomóc, bo on także pragnie, by wszystko wróciło do normy. Tak że z waszą pomocą czy bez, wyruszymy. Bo świat wymaga uratowania. – Na koniec tupnął nogą dla efektu, a Solar szczeknął dumny ze swojego pana.

Mama ledwie złapała swoją szczękę, zanim upadła na podłogę z wrażenia. Tak to się mówi? Tata kilkakrotnie kiwnął głową z uznaniem i uśmiechnął się nieznacznie. Tak, żeby Robert zobaczył. I tak, żeby mama nie zobaczyła.

– To ja może... – Zombik zaczął, dygocząc kolankami, kierować się w stronę wyjścia.

– Stop! – tym razem wrzasnęła mama. – Nie będzie żadnego ratowania świata... Bez naszego udziału. – spojrzała pojednawczo na tatę. Ten tylko kiwnął głową na zgodę.

Stuk, stuk. Coś zapukało w okno. Mama skrzywiła się, podeszła do niego, odsłoniła firankę i zobaczyła przyklejoną do szyby, rozpłaszczoną twarz pana Zbyszka.

– Wpuuuuuśćććć mnieeeee – wysyczał.

– A idź, ty wampirzysko jedno! – warknęła i zaczęła rozglądać się za czymś.

Pewnie coś jej wypadło. Nieważne! Ja i tak już byłam zła na tego wampira, więc stanęłam obok mamy i zrobiłam znak krzyża. Pan Zbyszek natychmiast z sykiem umknął w ciemność.

– No, no – podsumowała z uznaniem mama.

– Robert mnie nauczył.

Wszystkie spojrzenia spadły na stojącego przy swoim plecaku Roberta, a ten prężył się jak lew.

5

Nie wiedzieć czemu, potwory wolały grasować w ciemności. Zuzia twierdziła, że wtedy wydawały się straszniejsze i jak robiły „Buu" i „Huu", to wszyscy uciekali. Jak dla mnie to były bzdurki. Ja osobiście nie bałam się potworów. Żadnych. Ani tych dziennych, ani nocnych. Ani w ogóle. Ale na wszelki wypadek, żeby nie wystraszyć Zuzi, nalegałam, żebyśmy zaczęli wyprawiać się dopiero rano. Rodzice się zgodzili. Robert stękał zawiedziony, ściskając w ręku naostrzony ołówek na wampiry.

Mama od samego świtu pakowała rzeczy do wielkiego tornistra. Tata tylko patrzył na nią, wzdychał i co chwila powtarzał:

– To znajdziemy w drodze. To jest nam niepotrzebne.

Ale mama, jak to mama, robiła swoje i już.

– A co jeśli nagle zacznie padać deszcz i będziemy potrzebować parasolki?

Albo:

– A nie pomyślałeś, że przecież jak będziemy szli przez las, to komplet garnków i patelni może okazać się jak znalazł?

Albo:

– Pralki przecież nie działają. Właśnie dlatego potrzebujemy kilkanaście kompletów ubrań dla każdego. Nie wiadomo, jak długo będziemy podróżować, prawda?

A szpilki, igły, pieniądze (na wszelki wypadek), ubrania zimowe, trzeci komplet butów, jedzenie co najmniej na tydzień, termos z ciepłą herbatą, zestaw kosmetyków, suknia wyjściowa?

Zuzia tylko pokręciła głową.

Zanim mama skończyła się pakować, udało nam się już urządzić piknik i zjeść kanapki z pomidorem na śniadanie, a nawet trochę ciasteczek na drugie. Z czekoladką. Zuzia wypiła herbatkę, a Zombik po prostu siedział na kocyku i miętosił w rękach swój czerwony pompon. Na samą myśl o flincie taty kolanka zaczynały mu dygotać.

– Julka! Robert! – Mama stała obok sterty walizek wciśniętych do starej przyczepki samochodowej, skonstruowanej przez dziadka. Tata trzymał zaczep, wyraźnie niezadowolony. – Ruszamy – uśmiechnęła się promiennie.

Słonko też raźno świeciło.

6

Przyczepka towarzyszyła nam do końca miasteczka. Apokalipka nastąpiła niespodziewanie, dlatego sporo samochodów zdążyło wyjechać z garaży, ale nie zdążyło do nich wrócić. Stały obok siebie tak ciasno, że nawet Zombik ledwo się przeciskał. Tata trochę pochodził między nimi, coś pomierzył i popatrzył, aż wreszcie oznajmił mamie.

– Przykro mi, kochanie, ale przyczepka dalej nie pojedzie – uśmiechnął się i dodał – no to każdy bierze swój bagaż i w drogę.

Założył na plecy lekki tornister, dał nam nasze i ruszyliśmy wszyscy poza mamą, która jeszcze długą chwilę stała, ze smutkiem wpatrując się w przyczepkę. Najpierw chciała zabrać wszystkie walizki, ale zabrakło jej kilku rąk. Trochę te walizki ciągnęła, nawet zębami, ale co chwila zostawiała jakąś na pastwę potworów. I za każdym razem dyszała w stronę taty jak lokomotywa. Uf, Puf! Ale on nie widział, bo był już daleko z przodu.

Rozumiałam ją. Pewnie nie chciała, żeby wilkołaki gotowały w jej garnkach albo zombiaki przymierzały jej sukienki. W końcu jednak zostawiła wszystkie bagaże poza jedną, malutką walizunią.

A' propos potworów. W miasteczku było ich w dzień całkiem niewiele. Łaziła za nami tylko zgraja zombiaków, ale były one tak powolne jak żółw

Maurycego, pan Hilary. Tylko Robert ciągle się z nimi droczył. Podbiegał i bawił się w zombiakowego berka, a Solar z nim.

– Robciu! Jak cię jakiś użre, to zobaczysz! – powiedziałam mu czule, bo trochę bardziej polubiłam go od wczoraj. Ale ten tylko uśmiechnął się łobuzersko i popędził dalej do zabawy. Chyba nic się nie zmienił. Zuzia potwierdziła moje mroczne przypuszczenia skinieniem głowy.

Wreszcie wyszliśmy z miasteczka. Zombik pokazywał kierunek, coraz mocniej miętoląc pompon, a my szliśmy. Za miasteczkiem spotkaliśmy duchy autostopowiczów (raczej niegroźne), kilka chochlików i jednego wielkiego trolla na skraju lasu. Wyrastał ponad drzewa z maczugą uniesioną do góry. Pewnie zapomniał się schować przed słońcem i pewnego ranka zbudził się zamie-

niony w kamień. Trochę było mi go żal. A Solar co? Podlał jego nogę, merdając ogonem.

Potem szliśmy przez las. Gdy wieczorem zajadaliśmy pyszne kiełbaski przy ognisku, zaatakowały nas wilkołaki. Na szczęście Robert dokładnie wiedział, co robić. Podrzucił do ogniska drew, bo wilkołaki bały się ognia. A najbardziej to bały się srebrnych rzeczy, więc kiedy brat zaczął wymachiwać srebrną łyżeczką jak szpadą – ajaaa! – wilkołaki uciekły, mlaskając wygłodniałymi jęzorkami. Zombik cały dygotał, leżąc w swoim łóżeczku (pewnie ze strachu), ale Zuzia spała spokojnie. Ja zresztą też.

W następne dni minęliśmy jeszcze sabat czarownic, nawiedzony dom w środku gąszczu, próbujące pożreć nas drzewa, nietoperze krwiopijców i trochę innych potworów, ale Robert przygotowany był w zasadzie na wszystko.

A raz nawet trafiliśmy do krainy zimy.

– To pewnie jakaś dziura czasoprzestrzenna – ocenił Robert, smakując żółty śnieg spod latarni wyrastającej w środku lasu.

– Bleee... żółtego się nie je – szepnęłam do Zuzi – bo to siuśki.

Zuzia zachichotała.

Mama tylko pokiwała głową na tatę, jakby chciała powiedzieć : „A nie mówiłam, że przydadzą się kurtki”.

Śnieg skończył się jednak, zanim zaczęłam głośno szczękać zębami. W krainie zimy spotkaliśmy tylko jednego, wielkiego człowieka śniegu z puszystym białym futerkiem i spieszącego się gdzieś fauna z kolorowym szalikiem na szyi.

„Zupełnie jak w Narni” – pomyślałam, szczerząc się od ucha do ucha.

Potem przeszliśmy jeszcze przez góry, jaskinie, aż wreszcie trafiliśmy na bagna. I tam się wszystko dopiero skomplikowało. A na dodatek skończyły mi się ciasteczka.

7

Nadchodził już zmierzch. Żaby kumkały jak w strasznym horrorze, a bagno bulgotało. Bulg, bulg, bulg! Latały nad nim jakieś muchy, komary i wielkie ważki. I śmierdziało strasznie. Dotąd najgorszy zapach, po jakim mój nos wołał o ratunek, pochodził z noszonych przez miesiąc (dla eksperymentu) skarpetek Roberta, ale ten... był milion razy gorszy.

– Fuuj! – Zatkałam nos, Zuzia też. Zombik telepał się ze strachu jak osika.

„Osika to takie drzewo, z którego robi się osikowe kołki, co zabijają wampiry raz na zawsze" – powiedziałby pewnie Robert, gdyby słyszał moje myśli. Ale nie słyszał. Siedział przy wysokim drzewie, na kępie trawy i na spółkę z Solarem wyjadał pasztet z puszki. Obok niego stały plecaki rodziców, którzy poszli w poszukiwaniu suchych drew na ognisko. Chociaż, jak wyruszali, mieli miny, jakby nie było szans nawet na jednego patyczka.

Robert, jeszcze mniamając w buzi jedzenie, wyjął swój mały „Zeszycik potworny", otworzył go i czytał. Miał tam spis wszystkich potworów wraz z opisem, jak je pokonać.

– Jesteśmy na bagnach... Hmm... – kartkował. – Widzę, że tutaj możemy spotkać błędne ogniki, które wciągają w bagna, potwora z bagien, który gryzie, wielkie aligatory, które pożerają, zdarzają się też bagienne chochliki,

topielce, utopce, a nawet bagienne syreny i komary-wampiry. Wiedziałaś? – Wyszczerzył się do mnie, Solar wesoło szczeknął, a Zuzia zadrżała. Skrzywiłam się do Roberta, żeby mi lalki nie straszył, ale ten tylko szyderczo wyszczerzył się jeszcze bardziej.

– Wrrrrr! – usłyszałam za plecami. Odwróciłam się natychmiast, spodziewając się za sobą potwora z bagien albo co najmniej aligatora, ale dostrzegłam tylko Zombika stojącego na gałęzi i telepiącego się strasznie.

– Zombik, co ci? – zdążyłam tylko zapytać, zanim rzucił się na mnie, krzycząc po zombiakowemu (który o dziwo rozumiałam).

– Mózgu! Mózgu!

Próbował mnie ugryźć i pewnie by mu się udało, gdyby Zuzia nie skoczyła mi na ratunek i nie zasłoniła mojej szyi swoim ciałem. Harnął ją w nos.

– Ratunkuuu! – wrzasnęłam.

Dopiero mój krzyk oderwał zagapionego w swój mały zeszycik Roberta. Solar szczeknął i ruszył do nas. Chciał chwycić Zombika w zęby, by strącić go ze mnie, ale wgryzł się tylko w czerwoną czapkę z pomponem. Zerwał ją z głowy krasnalowego potwora i szarpał na lewo i prawo, warcząc głośno.

Tymczasem Robert złapał krasnala zombiaka za kark i oderwał go ode mnie. Ufff! Dzięki, bracie! Chciał nim rzucić o najbliższe drzewo, ale Zombik uczepił się jego ręki, wyszczerzył kły i wbił je w jego bluzę!

– Aaaaa! – wrzasnął Robert przerażony. Zaczął tańczyć po naszym niedoszłym obozowisku, a Zombik wirował przyczepiony do niego jak szmaciana lalka. – Zdejmij go ze mnie! Zdejmij go!

Zanim mały potwór ugryzł ponownie Roberta, znalazłam długi drąg i pacnęłam nim bestię! O dziwo, trafiłam za pierwszym razem! Robert i Zombik padli. Podbiegłam do nich.

– Robciu, żyjesz?

– Żyję. Jeszcze. – Spojrzał na zemdlonego Zombika, wstał, wyjął z plecaka sznurek i przywiązał nim krasnala do drzewa. Potem szybko zdjął bluzę i zaczął oglądać swoje ramię.

– Co robisz? – zapytałam, tuląc pogryzioną Zuzię do piersi.

– Szukam śladów. Jak ugryzie cię zombie, to w ciągu 24 godzin zamienisz się w jednego z nich.

– Serio?

Zuzia spojrzała na mnie przestraszona.

– Serio.

– Nawet jak ugryzie cię tylko mały pół zombi, pół krasnoludek?

– Naprawdę pytasz?

– No naprawdę.

To nie było przecież takie oczywiste. Skoro cały, duży zombie zamienia kogoś w nowego zombiaka w tyle godzin, co powiedział Robert, to pół zombie, pół krasnal, i jeszcze taki malutki, może w ogóle nie zamienia w zombiaka.

– Tak. Każde ugryzienie zombiaka zamienia w zombiaka.

Zuzia zastygła ze strachu. Utuliłam ją do siebie i pokołysałam. Ale za to Robert, przyglądając się swojemu ramieniu, był coraz bardziej uspokojony.

– Ani śladu. Weź ty jeszcze popatrz.

Podeszłam do niego i razem z Zuzią dokładnie obejrzałyśmy jego ramię.

– Nic nie widzę.

Nie było ani śladu ugryzienia. Zuzia zerknęła na mnie błagalnie i pokazała rączką na swój nos, abym oceniła skalę jej rany. Niestety wieści nie były dobre. Szwy puściły i ślad po ugryzieniu był zupełnie wyraźny. Klamka zapadła. Moja lalka zamieni się w zombiaka, i to całkiem niedługo.

– A da się to jakoś zatrzymać? – zapytałam.

– Co zatrzymać?

– No, zamianę w zombiaka.

– W jednym komiksie widziałem, jak to robili. Nic przyjemnego.

– No to mów!

– Trzeba odciąć ugryzioną część ciała.

Zuzia zrobiła wielkie oczy i przycisnęła swój przyszywany nosek rękami.

Przybiegli zadyszani rodzice.

– Co się stało? – wysapał tata, celując flintą na lewo i prawo.

– Słyszeliśmy wołanie! – dodała mama, trzymając w ręce mały zwitek patyków.

Solar zaczął biegać od nich do leżącej na ziemi czerwonej czapki i szczekać. Pewnie próbował im wytłumaczyć w psim języku, co zaszło. Ale tata, ani mama nie bardzo go rozumieli. Chyba tylko Robert coś tam mówił po psiemu.

– Bo najpierw to Zombik mnie zaatakował – wytłumaczyłam. – Wołał tak: „Mózgu, mózgu"!

Robert się roześmiał, a Solar zawtórował mu szczeknięciem.

– Czemu się śmiejesz? – warknęłam naburmuszona.

– Bo to dziwne, że szukał u ciebie mózgu.

Ale piorunujące spojrzenie mamy natychmiast spowodowało, że spoważniał.

– Mówiłam, żeby nie zabierać ze sobą tego małego potwora – dodała i kiwnęła w moją stroną.

– Potem chciał mnie ugryźć – kontynuowałam – ale Zuzia mnie obroniła i teraz zamieni się w zombiaka. Mamy tylko 204 godziny, żeby ją uratować.

– 24 – poprawił mnie Robert.

– No i na koniec Robert go strącił i związał. Uratował mnie – dodałam, a Zuzia przytaknęła, głaszcząc się po nosie.

Robert wyprostował się dumnie, a potem ukłonił się w stronę rodziców. I wtedy zobaczyłam na jego ramieniu wielkiego pająka ze świecącymi na czerwono gałami. Jakby się uśmiechał. A potem w zwolnionym tempie otworzył swój owadzi pysk i użarł Roberta.

– Robert! – zdążyłam tylko wrzasnąć, ale było już za późno.

Robert podskoczył, zrobił się blady, potem zielony, niebieski i czerwony, aż wreszcie padł. Zanim tata zdążył wypalić do pajęczaka z flinty, ten już uniósł się na swojej nici gdzieś w gąszcz bagnistych szczytów drzew. Tak, jakby ktoś mu kazał właśnie w tym momencie ześlizgnąć się z góry, użreć Roberta i uciekać.

Zanim ciszę wypełniło rozpaczliwe zawodzenie mamy, mogłabym przysiąc, że usłyszałam oddalający się chichot tego wrednego wampirzyska – pana Zbyszka.

Kto jest odpowiedzialny za Apokalipkę!

Poznaj osoby, które w mniejszym lub większym stopniu brały udział w tworzeniu tej książki.

Anastazja – jedyna, prawowita pomysłodawczyni książki, autorka. Pierwszoklasistka (już), która uwielbia bawić się lalkami, klockami Lego i wymyślać opowieści. Odpowiednio zachęcona jest w stanie sprostać każdemu wyzwaniu i pokonać wszelkie przeciwności losu, aby osiągnąć zamierzony cel (np. dostać się do zamkniętej szaf- ki ze słodyczami). Część ze stworzonych przez nią opowieści możesz posłuchać w serduszkowym świecie bajek Anastazji.

Łukasz – pisarz, autor, filozof. Tata dwójki fantastycznych dzieciaków i mąż jednej, genialnej żony. Pasjami pisze codziennie o poranku (nie codziennie! Tylko w dni robocze) w samochodzie lub wszędzie tam, gdzie znajdzie skrawek ciszy i spokoju. Inicjator projektów z cyklu „Horror na Roztoczu" oraz autor kilku kolejnych publikacji (powieści grozy), które groźnie warczą na niego z dysku i czekają na publikację.

Maksym – pomysłowy przedszkolak z mocami jak: Super pazury, mocna siła czy prędki bieg. By zadziałały wystarczy, że je wymieni. To on wymyślił Dłoń (postać z „Apokalipki"), a część dialogów z książki jest mocno inspirowana jego opowieściami. Umie już liczyć do jedenastu i to na palcach jednej ręki.

Asia Jedlińska – Rysowniczka, graficzka, animatorka, fotografka, która, nie mogąc ograniczyć się do jednej dziedziny, stara się połączyć je wszystkie w swoich pracach. Skupia się głównie na portretach, nadając postaciom lalkowy kształt, melancholijne usposobienie i niepokojący klimat. Absolwentka historii sztuki na Uniwersytecie Warszawskim i projektowania graficznego na łódzkiej ASP. Jej prace publikowane były na okładkach książek polskiej grozy oraz w magazynach „Dark Beauty Magazine", „ASF", „Grabarz Polski", „Lost&Found".

Aleksandra Jędrzejewska – obecnie ma 17 lat i mieszka w Tomaszowie Lubelskim. Jej pasją od wczesnego dzieciństwa jest malarstwo i rysunek. Potrafi całe dnie spędzać ze szkicownikiem i ołówkiem w ręku. 2018 rok okazał się dla niej przełomowy – wzięła wówczas udział

w kilku projektach, dwóch związanych z malarstwem, jednym z muzyką. Nie jest typową nastolatką, lubi dyskutować na mniej przyziemne, zakrawające o filozofię tematy, a czas wolny woli spędzać w domu lub w gronie najbliższych osób. Jak twierdzi, nie ma jeszcze pomysłu na siebie, ale, póki co, udaje jej się robić to, co najbardziej lubi i daje jej radość - rysuje.

Monika Mikołajewicz – kobieta o (co najmniej) dwóch pasjach, które ma szczęście realizować. Pierwsza z nich to słowo pisane, druga to praca z dziećmi. Przez kilka lat zajmowała się copywritingiem, obecnie pracuje w przedszkolu, ale w wolnym czasie chętnie angażuje się w ciekawe projekty (takie jak „Apokalipka"), w których ma możliwość kreślić, poprawiać, przestawiać i dopisywać wyrazy. Prywatnie szczęśliwa żona, mama i wielbicielka teorii braku przypadków.

Mateusz Zygfryd Cholewiński - lubi pryncypałki w czekoladzie deserowej lub każdej innej.

Nasz geniusz od składu DTP.

Jeśli masz ochotę poznać inne książki naszego wydawnictwa lub dowiedzieć się więcej o powstawaniu „Apokalipki", zapraszamy na stronę

www.izarowski.pl

Dzięki i do następnego razu!
Anastazja i Łukasz